

STANISŁAW I. WITKIEWICZ

## A Journey to the Tropics

## I

**I**n the June heat, when the sun nears the Tropic of Cancer, the Red Sea turns into an indescribable hell.

Leaving behind us yellow and orange sands cleaved by gulfs shimmering with all possible shades of green and blue – from light willow green and turquoise to navy blue and dark violet – we immerse ourselves in a water desert, on both sides of which two deserts of rock and sand spew out a terrible, dry heat like two enormous furnaces.

Shortly after the last, tooth-like peaks of the Sinai Peninsula's mountains – looking as if made from transparent amethyst – disappear behind the horizon the sky changes its hue, turning from blue to the colour of milky coffee. This is most probably caused by the huge clouds of dust raised from both deserts by the southern winds which blow at this time of year. The sun turns silvery-green, its reflection a cold, metallic glow in the lightly wrinkled sea, making it resemble a twisted, red-hot copper ovenplate. The excruciating heat reaches its zenith. Even at night the temperatures do not fall below 40 degrees on the Reamur scale.

We leave behind us the deserted volcanic island of Jebel Sukur, built of black and white rock. Its tangled and twisted form leads one to think that it must have been heaved from the seabed in some kind of terrible convulsion. Small, blue-coloured clouds cling to the clifftops, looking like blue fog-eyes against the mass of coffee-coloured cumulus filling out the peaceful sky.

In the night we pass Perim, a seaport on the Arab shore, whose lighthouse chases us with its restless flashing for a long time, the light cutting through the black, stifling darkness. Because of the heat we spend the nights on deck – the left side reserved for the men, the right side for the women.

In the morning a "steward" chases the passengers off the deck with a warning that waves may soon start to roll over it. We are indeed approaching an area dominated in the summer months by a wind blowing from the south-west called the South-West Monsoon. In the morning mist we see the hazy features of the cape of Guardafua: several hundred metres of rock, behind

which to the right rises a bright-yellow-coloured hill. Because of the fog it is impossible to determine what gave the rising its colour. The ocean, restless up to somewhere around Madagascar, now becomes increasingly unruly, although the wind is rather weak. As soon as we pass the cape screening us from the southern horizon the South-West Monsoon begins to blow and we are grasped by the huge waves of the Indian Ocean.

We proceed along the shores of the island of Sokotra, its outline hazily visible through the foggy air. Ragged clouds rush across the pale-blue sky. Snow-white, dazzling foam crests the waves. The hissing of the foam and the roar of the waves as they clash with the wave produced by our ship mingle with the howling of the wind in the mast riggings and the ship's upper parts – off limits to second-class passengers – where funnels spew out black, thick smoke and huge ventilators gape like open jaws.

Every now and then swarms of flying fish rise from the tops of the waves and disappear again into the watery abyss. The waves attack us from the starboard side – five, six-metre-high mountains made up of masses of smaller hillocks. Our 12-ton giant starts rising and falling and simultaneously rocking to the left and right. This state, called rolling, is the worst kind of rocking – when a ship starts rolling it is practically impossible to find a relatively calm piece of water for it to quieten down. After some time the rolling makes it difficult for us to admire the storm – for obvious reasons. Our faces become pale, our eyes mist over and after a short battle with the inevitable we all completely succumb to our fate.

After two days of this – with dark beer as our only salvation from utter dejection – the wind weakens a little and we can once more admire the sea without having to pay it a painful tribute.

As we pass India, hidden behind the horizon, the ocean turns from blue to dark green and the air fills with the iodine-tinted smell of algae – a sign that land is near. Around noon on the fifth night following our passage through the Bab el Mandeb strait the darkness is torn apart by the flash of a lighthouse light signalling our current destination – Ceylon's capital Colombo.

We can see nothing beyond the multi-coloured signal lights of the ships berthed closest to us and a row of lanterns on the shore. We wish we could pierce the darkness with our eyes and finally take a look at this unknown tropical landscape. My unsatisfied curiosity doesn't let me fall asleep, and when I do I dream disquieting visions.

The first impression is painfully unpleasant. Despite the early morning hours the heat is simply infernal and made still worse by the highly humid air. Through

## I

**M**orze Czerwone w czasie czerwcowych upałów, kiedy słońce dochodzi do zwrotnika Raka, staje się piekłem nie do opisania.

Minąwszy żółte i pomarańczowe piaski, poprzerynane zatokami mieniącymi się wszystkimi odcieniami zieleni i błękitu, od tonów jasnoseledynowych i turkusowych aż do granatów i ciemnych fioletołów, zagłębiliśmy się w pustynię wodną, z obu stron której dwie pustynie skał i piasków zioną, jak dwa olbrzymie piece, potwornym suchym żarem.

Wkrótce po zniknięciu za horyzontem ostatnich zębów gór półwyspu Synaj, gór zrobionych jakby z przezroczyściego ametystu, niebo zmienia swą barwę i z błękitnego przechodzi w kolor białej kawy. Przyczynia się do tego prawdopodobnie wielka ilość pyłu, który z dwu pustyń podnoszą wiejące w tym czasie południowe wichry. Słońce staje się zielonkawosrebrne i odbija się zimnym, metalicznym blaskiem w lekko sfalowanym morzu, przypominającym powyginaną, rozżarzoną miedzianą blachę. Upał straszliwy dosięga szczytu. Nawet w nocy temperatura nie spada niżej niż 40° Reaumura.

Zostaje za nami samotna, wulkaniczna wyspa Dżebel Sukur, złożona z czarnych i białych skał. Budowa jej, splątana i wykręcona, robi wrażenie, że jakieś straszne konwulsje wydzwignęły ją z dna morza. Szczytów skał czepiają się chmurki błękitnego koloru, które na tle kawowej barwy wyglądają jak błękitne przeziory w jednolitej masie obłoków, jaką się zdaje pogodne niebo.

W nocy mijamy Perim, port na brzegu arabskim, którego latarnia ściga nas jeszcze dłuższy czas niespokojnymi błyskami, przesywającymi czarne, jakby rozpalone ciemności. Z powodu upału noc spędza się na pokładzie. Lewa strona zarezerwowana dla mężczyzn, prawa dla kobiet.

Nad ranem „steward” spędza podróżnych z pokładu, oświadczając, że za chwilę fala może zacząć go zalewać. Zbliżamy się bowiem do sfery wichru wiejącego w lecie z południo-zachodu, tzw. South-West Monsoonu. W porannej mgłę widać niewyraźne zarysy przylądka Guardafui: skała kilkusetmetrowa, poza którą na prawo wznosi się wzgórze jaskrawożółtego koloru. Z powodu oporu nie można rozpoznać, co jest powodem tego zabarwienia. Ocean rozhuśtany, gdzieś aż do Madagaskaru, faluje coraz bardziej, mimo że wiatr jest stosunkowo dość słaby. Zaledwie jednak minęliśmy przylądek, zasłaniający horyzont od południa, zadał Monsoon i chwycił nas wielkie fale Oceanu Indyjskiego.

Posuwamy się wzdłuż wyspy Sokotra, której sylweta majaczy w zamglonym powietrzu. Na tle bladobłękitnego nieba pędzą poszarpane obłoki. Grzbiety fal pokrywają się śnieżną, oślepiająco błyszczącą pianą. Syk piany i huk fali, spotykającej się z falą odbitą przez okręt, łączy się z wyciem wichru w linkowaniu masztów i wśród niedostępnych dla pasażerów II klasy górnych częściach statku, gdzie stoją buchające kłębami czarnego, gęstego dymu kominy i szczerzą się olbrzymie paszcze wentylatorów.

STANISŁAW I. WITKIEWICZ

## Z podróży do Tropików\*

Co chwila z grzbietów fal unoszą się tłumy latających rybek i zapadają znowu w wodne otchłanie. Fale uderzają z prawego boku. Najmniej pięcio-sześciometrowe góry złożone z całej masy drobnych wzgórz. Nasz dwunastotonowy olbrzym zaczyna wspiąć się na góry i zapadać w doliny, chwając się przy tym to na lewo, to na prawo: najgorszy gatunek kołysania, tzw. rolling, który uniemożliwia znalezienie jakiegosć choćby względnie spokojniejszego miejsca. Po chwili czyni to zachwyty nad wzburzonym morzem prawie niemożliwym z powodów łatwo zrozumiałych. Twarze stają się blade, wzrok błędny i po krótkiej walce następuje zupełne poddanie się przeznaczeniu.

Po dwóch dniach takiej jazdy, podczas której ratuje od ostatecznej rozpacy jedynie czarne piwo, wiatr słabnie trochę i morze daje się znowu podziwiać, nie wymagając ofiar zbyt ciężkich.

Kiedy mijamy ukryte za horyzontem Indie, ocean z niebieskiego staje się ciemnozielony, a w powietrzu rozchodzi się jodowy zapach alg, oznaczający bliskość lądu. Piątej nocy od przepłynięcia cieśniny Bab el-Mandeb, około dwunastej rozdiera ciemność błysk latarni morskiej zwiastując kres najbliższy podróży: stolicę Cejlonu, Colombo.

Oprócz różnokolorowych, sygnałowych świateł okrętów bliżej stojących i szeregu nadbrzeżnych latarni nie można nic więcej zobaczyć. Chciałoby się wrokiem przebić ciemności i ujrzeć nareszcie nieznaną, tropikalną krajobraz. Nie zaspokojona ciekawość nie daje zasnąć i we śnie nawet męczy niepokojącymi wizjami.

Pierwsze wrażenie nad wyraz przykre. Mimo wczesnego ranka żar wprost piekielny, spotęgowany przesyleniem powietrza wilgocią. Przez rozedrgany w słońcu opar widać brzeg niski, pokryty palmami i czerwone domy wśród nieprzyjemnie jadowitej zieleni. Ani śladu tropikalnego uroku. Obcość przykra, a nie dziwaczna: jakby jakiś nudny, a złowrogi sen.

Na pokładzie roi się od ludzi. Wśród europejskich białych lub koloru „khaki” strojów widać już tropikalne helmy, chroniące od słonecznego udaru. Widok ten zdaje się powiększać jeszcze potworne gorąco. Są też i krajowcy: Syngalezi, przeważnie hotelowi portierzy i tragarze. Słychać gwar nieznaną

\* Pierwodruk artykułu ukazał się w „Echu Tatrzańskim” we wrześniu i październiku 1919 (nr: 15, 16, 17, 18). Następnie w „Literaturze Ludowej” 1974, nr 3 i w S.I. Witkiewicz, *Bez kompromisu. Pisma krytyczne i publicystyczne*. Zebrał i opr. J. Degler, PIW, Warszawa 1976

a shimmering, hot mist we can see a low shoreline with palm trees and reddish houses surrounded by unpleasant, poisonous-green foliage. There is no trace of tropical beauty, only a strangeness that is more unpleasant than exotic – like a boring but sinister dream.

The deck is crowded with people. Tropical helmets – protection against sunstroke – appear amidst European-style whites and khakis. The sight seems to enhance the already excruciating heat. Singhalese locals appear, most of them hotel porters and bearers. We can hear the sounds of an unknown language which at times resembles Italy's Naples dialect. Naked bodies of all colours – from black-brown to reddish-chocolate – glisten in the sun. The latter hue is disquieting to look at: the bodies seem to be suffering inhuman torment and the skin looks as if ready to scorch you with a hideous heat if touched.

There is a multitude of boats next to the ship, their owners haggling for passengers as if possessed.

## II

Facing the debarkation ramp is a small square with a statue of Queen Victoria surrounded by hideous, reddish-orange houses built in an Indian-bungalow-tropical-depot-stationhouse style.

All around us are "rikshas" – Singhalese pulling small, two-wheeled carts with room for one passenger, horse-drawn carriages with servants and drivers in red or white turbans pass us. The less wealthy use small, two-wheeled carriages drawn by little, hump-backed oxen which look like prematurely adult, degenerate calves.

On the other side of the cape on which the port lies is a large beach separated from the road running along the shoreline by a brick wall without railings. The yellowish, monsoon-torn sea breaks on the red sand with an ominous hiss.

Further along the shoreline a silvery-green, wind-blown, feathery palm forest stands immersed in clouds of seafoam.

In the shade of a small hut sits a frightening figure with gentle eyes and an acne-riddled face: a Singhalese studying his own religion from an English-language text.

The unpleasant dream doesn't want to end. Is this really a tropical paradise?

My disenchantment is, of course, senseless. Having expected exotic wonders, however, I find that my first impressions stand in striking contrast to what I'd imagined.

We hire several "rikshas" to take us to the distant Victoria Park. Seeing a man perform the work of a harness animal is unpleasant at first but the rikshas

move their thin, brown shanks with such ease and pull their little carts with such nonchalance (throwing their arms upwards in the process) that we soon regard them as something quite ordinary.

We travel down broad streets and amidst scattered houses hidden behind small palm groves and thick, flower-covered bushes. Each garden is surrounded by a low wall covered with colourful fungae.

On our way we encounter a Muslim funeral. The coffin is covered with rags of sundry colours, the mourners are dressed in bright robes of all possible hues. At the head of the procession walks the bereaved, his face twisted by sorrow. All are singing some kind of song without a beginning or end in high, wailing voices.

The red-hot sun is blinding. Swarms of ravens fly about everywhere, crowing madly. They aren't hunted here thanks to their social usefulness as devourers of waste and leftovers.

Victoria Park is our first encounter with real tropical flora. The impression is terrifying. The over-abundance of life, the chaos of form and colour produce a depressive effect. The feeling is one of senselessness, excess and wastefulness, disquieting strength and passion bordering on madness. One senses one's own weakness, and a kind of awkwardness that is strangely unpleasant. This is enhanced by the overpowering heat and stifling humidity: the wet, scorching air burns your nose as you breathe in like steam in a Roman bath.

The sun, a rare occurrence in our latitudes and therefore seen as a beneficial deity, changes here into a terrible, murderous monster lying in wait to vanquish us, its victims from the North.

The blinding glare of the grass is reminiscent of the April snows at home. The shadows – black, bottomless pits – exude a terrible heat. The general impression on this bright, tropical day is one of gloom and ominousness. It is all like an exhausting, feverish dream in which everything becomes extra large, terrifyingly beautiful and threatening – and too overwhelming for one poor, sick man. Dark-green bushes sprouting huge, purple flowers with long, yellow-orange anthers; gigantic trees covered with white bark and as if entwined by lianas sporting broad, shovel-shaped leaves; clusters of thick, several-metre-high bamboo stems giving out a strange crackling and screeching sound as they rub against each other in the wind.

The monsoon is blowing at no more than about 8-9 metres per second but the impression is of a huge bellows pressing out air from inside an enormous furnace. The scorched earth burns from underneath like a hot tin plate. Young bamboo shoots, thick like telegraph poles and closely covered with scaly leaves push out from the ground in some kind of menacing trance. Each leaf thins out into a thorn and is



mowy, przypominającej chwilami włoski, neapolitański dialekt. Błyszcą w słońcu nagie ciała wszystkich kolorów, od czarnego brązu do czerwonej czekolady. Ten ostatni kolor robi przykre wrażenie: zdaje się, że ciało to cierpi w niehumoidalnym sposobie, a przy dotknięciu palić musi jakimś obrzydliwym żarem.

Mnóstwo łodek tłoczy się naokoło okrętu, a wioslarze ryczą jak wściekli o pasażerów.

## II

Na wprost debarkaderu mały plac z pomnikiem królowej Wiktorii otoczony potwornymi, czerwono-pomarańczowymi domami w stylu indyjsko-bungalowowo-tropikalno-magazynowo-stacyjnym.

Uwija się mnóstwo „rikszów”, tj. Syngalezów ciągnących małe, jednoosobowe powoziki na dwóch kołach. Przejżdżają ekwipażem z lokajami i woźnicami w czerwonych lub białych turbanach. Uboższa ludność jeździ małymi, dwukolnymi bryczkami, zaprzęgniętymi w garbate, małe woły, które robią wrażenie przedwcześnie dojrzałych, zdegenerowanych cieląt.

Na drugiej stronie przylądka, przy którym leży port, rozciąga się wielka plaża, odgradzona murem bez poręczy od drogi biegnącej wzdłuż morza. Żółto zabarwione, wzburzone przez Monsoon morze rozbija się z ponurym sykiem na czerwonym piasku.

Dalej ciągną się nadbrzeżne lasy palmowe, srebrzystozielonkawe, o sylwecie rozwianej, pierzastej, zatopione w oparze rozpylonej piany morskiej.

W cieniu małej budki siedzi potworna postać o łagod-

nych oczach i twarzy pokrytej wysypką: Syngalez studiujący swoją własną religię w angielskim przekładzie.

Dalszy ciąg nieprzyjemnego snu przedłuża się. Więc to jest ów wymarzony tropik?

Rozczarowanie to jest oczywiście nierozsądne, ale po oczekiwaniu jakichś niepojętych cudów pierwsze wrażenia stoją z wyobraźnią w rażącej sprzeczności.

Bierzemy „rikszów” w celu zwiedzenia odległego parku Victoria. Z początku używanie człowieka jako zwierzęcia pociągowego sprawia pewną przykrość. Ale „rikszowie” z taką lekkością wymachują cienkimi, brązowymi łydkami i z taką nonszalancją ciągną swoje bidki, wyrzucając przy tym ramiona w górę, że po chwili uważa się to za rzecz całkiem naturalną.

Jedziemy rozległymi ulicami, wśród rozrzuconych domków, ukrytych w laskach palm i gąszczu kwiecistych krzewów. Każdy ogród otoczony niewielkim murem, pokrytym przeważnie różnokolorowymi pleśniami.

Spotykamy muzułmański pogrzeb. Trumna pokryta kolorowymi szmatami, uczestnicy w szatach jaskrawych wszystkich możliwych kolorów. Na czele idzie poszkodowany z twarzą wykrzywioną bólem. Wszyscy zawodzą jęczącymi głosami jakąś ciągnącą się pieśń bez początku i końca.

Słońce rozżarzone oślepia; wszędzie unoszą się stada kruków zapamiętałe kraczących. Nie tępią ich tu z powodu ich działalności publicznej, jako zbieraczy odpadków i śmieci.

W parku Victoria następuje pierwsze zetknięcie się z prawdziwą tropikalną roślinnością. Wrażenie wprost straszne. Ten nadmiar życia, rozwydrzenie form i kolorów działa przynębiająco. Jest w tym jakiś dziki bezsens, zbytek i rozrzutność, niepokojąca siła i namiętność granicząca z szałem.

overgrown with criss-cross patterns of small hairs. The leaves, in hues from violet to yellow-green ochre, form a separate decorative motif.

Every little plant and every grass shoot is different than at home. The grass consists of small white-green, tooth-ridged leaves, around which fly huge, bird-sized butterflies, mostly black and navy blue with touches of willow-green, and the golden-green, matchbox-sized beetles that Singhalese children hunt and peddle as lucky charms.

On our way back we visit a small, relatively new Buddhist temple. Our guide is a monk with a shaved head dressed in a faded yellow robe.

Inside the temple stands a several-metre-high statue of Buddha, painted yellow. The prophet's lips are crimson-coloured, his face twisted into a foolishly contemplative, sensuous smile. The entrance is guarded by reliefs of lions standing on their hind paws, their tails raised. Their glass eyes give out a phosphorescent light.

The frescoes inside the temple are not exactly primitive, but hastily drawn in bright, disharmonious colours and showing traces of cheap, European styling.

The native districts are crowded with small, mostly single-storey houses at first glance resembling Jewish *shtetls*. Only the people are as if taken from a wicked dream. There are very few women on the streets – only occasionally do you get to see a young and pretty face, its features slightly reminiscent of the girls in Poland's Podole region. But the male part of the population is simply terrifying: old men with yellow or saffran-coloured eyes, their faces full of cruelty and criminal intent. Possibly they are the world's kindest creatures but the distinctness of their features and colour influence the imagination in such a way that we suspect them of possessing an exceptionally menacing mentality.

The strange and unknown always carries an element of danger, especially if coupled with ominousness. The faces of the young people are sly or sad – but repulsive even in sadness. There is something insincere, servile and deceitful in every one of them. One rarely sees an honest, sincerely happy face or one showing strength and determination. In all, the general impression is gloomy and irritating.

Hairstyles differ greatly. The priests, dressed in long, yellow robes made of a single piece of cloth, have closely-shaven heads. The men sport their hair in a variety of ways. Most wear it long which, together with their moustaches and beards, gives them a repulsive look. Some tie it into a knot on the back of their heads and decorate it with round, yellow combs whose sharp teeth stick out to the fore like little, flaming horns in the sunlight. Some have shaved scalps with wisps of hair left at the back, others wear

traditional haircuts, the hair curly and negro-like. Usually only old men wear turbans. Most walk about with bare heads and one wonders how their shaved scalps manage to stand temperatures that would kill a European within minutes if he dared to take his cork helmet off.

Some are half-naked, others wear colourful shawls draped around their shoulders. Almost everybody wears colourfully hued skirts. The colours of the clothes vary greatly – from blue to orange and from crimson to emerald green.

Yellow is reserved for the upper classes and worn rarely. Some of the women wear navy blue robes laced with a broad, yellow strip. The men have very soft, feminine movements and as their hairstyles don't differ much from the women's it is sometimes hard to tell them apart. Ladies of more distinction wear short, white, low-necked bodices with short sleeves and lace decorations.

The beggars usually lie on street corners covered up to their heads with grey-coloured pieces of canvas, from under which they stick out greedy, thin black hands holding jugs or bowls for money. From under the canvas come stifled wails and moans.

The bells of the rikshas and the impatient, seemingly indignant shouts of the ox-drivers as they urge on their animals, slowly dragging carts topped with semi-circular boxes made of palm leaves, can be heard against the incessant crowing of the countless crows and the rabble of conversation. All around one hears shouts of, "Ahh! Ahh!", as if someone's tooth had just been pulled too suddenly.

The main street ends with the Kelani river, a stream about two hundred steps wide. Like everywhere in Ceylon, the murky, dirty-yellow water seems to be standing still, its lazy weirs reflecting a huge cloud, rose-red in the setting sun.

On the opposite bank stands a palm forest, concealed among the trees are houses in whose windows lights appear as soon as the sun sets. A thin afterglow hangs low over the horizon for no more than a minute or two, darkness falls quickly and suddenly, pitch-black after the just-disappeared daytime glare. We take a ferry across the river together with a crowd of Singhalese, baskets of fruit and other goods.

The road winds among tall palm trees, their plumes swaying in the evening breeze. Near the river bank crowds of people are bathing in the muddy water. Their black, thin silhouettes look strange against the quickly dying evening sky. The first stars, Alpha and Beta Centauri, appear high above. At this time of year they and the famous Southern Cross are the only stars visible in the early morning hours in this part of the southern sky. Huge Canopus, the biggest star on both



Doznaje się poczucia własnej słabości i jakby niedołęstwa w jakiś dziwnie nieprzyjemny sposób. Potęguje to wrażenie obezwładniającego upału i wilgotna duszność: powietrze mokre i rozpalone szczypie w nos przy oddychaniu, jak para w łaźni rzymskiej.

Słońce, które u nas rzadko się ukazując i łagodnie grzejąc zdaje się dobroczynnym bóstwem, tu zmienia się w straszliwego, morderczego potwora, który czyha na zgubę swoich ofiar z północy.

Oślepiający blask trawy przypomina blask kwietniowego śniegu u nas, podczas gdy cienie, czarne jak bezdenne otchłanie, zieją straszliwym upałem. Ogólne wrażenie jasnego tropikalnego dnia jest ponure i groźne. Zdaje się, że to jakiś męczący, gorączkowy koszmar, w którym wszystko staje się olbrzymie, piękne w swej potworności i złowrogię i przytłacza nieszczęsnego, chorego człowieka. Ciemnozielone krzewy pokryte ogromnymi purpurowymi kwiatami z długimi, żółto-pomarańczowymi pylnikami: drzewa olbrzymie o pniach białych, jakby oplecione lianami o szerokich łopatkowatych liściach, kępy potężnych, kilkunastometrowych bambusów, dziwnie trzaskających i skrzeczących przez ocieranie się pni za podmuchem wiatru.

Monsoon dmie z siłą może 8–9 m na sekundę, ale robi to wrażenie, że z olbrzymiego pieca dmą jakieś potworne miechy. Żar od rozpalonej ziemi pali od dołu, jak od rozżarzonej blachy. Pędy młodych bambusów, grube jak telegraficzne słupy, wydierają się z ziemi z jakimś złowrogim zapamiętaniem; pokryte przylegającymi liśćmi jak łuską; każdy liść zakończony kolcem i porysowany małymi włoskami w dziwne desenie

stanowi oddzielną dekoracyjną kompozycję w kolorach od fioletu aż do żółto-zielonej ochry.

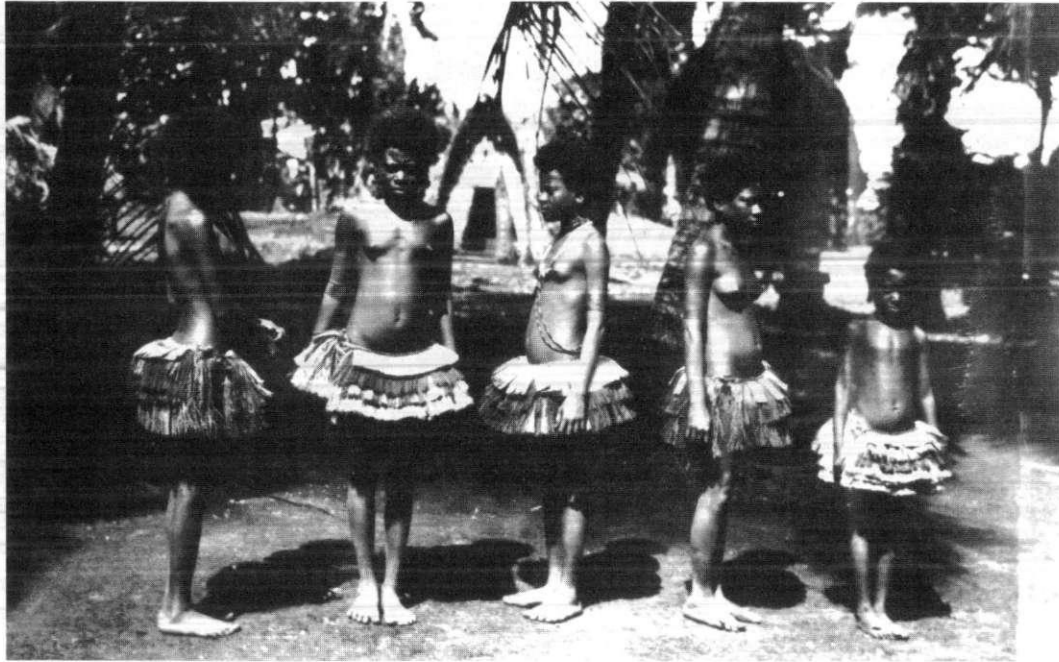
Każde źdźbło, każda trawka inna niż u nas. Trawa składa się z białawozielonych, wycinanych w ząbki listków. Unoszą się motyle ogromne, jak ptaszki, przeważnie w czarno-granatowych kolorach z seledynowymi deseniami. Latają duże jak pudełka zapalek żuki o złoto-zielonych pokrywach, które łapią mali Syngalezi i sprzedają jako talizmany.

Wracając zwiedzamy małą, niezbyt starą świątynię buddyjską. Oprowadza nas kapłan z ogoloną głową, ubrany w żółtą, wypłowiałą szatę.

W głębi świątyni leży kilkumetrowy Budda, wylakierowany na żółto, o ustach purpurowych i głupkowato zamyślonym, zmysłowym wyrazie twarzy. Wejścia bronią wypukło rzeźbione lwy, stojące na dwóch łapach, z podniesionymi ogonami, a oczy ich ze szklanych gałek świecą jakby fosforycznie.

Freski nie prymitywne, ale niedbale rysowane, w kolorach jaskrawych i nieharmonijnych, przetrząśnięte ogólnoeuropejskim tandetnym stylem.

W dzielnicach krajowców małe domki przeważnie parterowe, stoją gęsto. Na pozór robi to wrażenie małego żydowskiego miasteczka. Tylko ludzie jak z jakiegoś potwornego snu. Kobiet bardzo mało na ulicach. Czasem przewinie się jakaś twarz młoda i ładna, trochę w typie naszych dziewcząt z Podola. Ale mężczyźni wprost okropni. Starczy o białkach ócz żółtych lub szafranowych, o twarzach pełnych okrucieństwa i zbrodniczych chęci. Być może, że są to najlepsi ludzie, ale odrębność rysów i koloru działa na fantazję w ten sposób,



hemispheres after Sirius, will appear much later. The Big Dipper lies close above the horizon, pointing the way to the North Star. The equatorial starbelt with Arcturus, Spica and Antares moves across the sky's zenith.

### III

We make our way back to the port late at night. Underway we suddenly hear the sounds of devilish music with no beginning or end and no discernible melody. Pipes scream breathlessly, against them a drum produces quaint, off-beat rhythms. A wedding ceremony in a rich Tamil home.

The musicians are sitting on the hallway floor, passers-by stop to gape at the mysterious wedding rites through the open door. At a distance a Brahmin temple in which evening services are held stands in strange contrast to the chatter of the wedding guests. We are not allowed inside although we pledge to take our shoes off. Standing in the doorway, we are deeply moved by the ceremonious atmosphere inside. Hanging lamps shaped like glass bowls burn in ornamented brass settings. Further inside, at the end of a small corridor, stands an altar with a statue of Vishnu. On a table lit by candles held by human figures moulded from brass or gold stand several vessels. A priest chants some kind of prayer or incantation over them and offers one of the faithful drink and food. Everyone in the temple goes through the same rites. Somewhere from inside the temple comes a monotonously-chanted prayer which

sounds faintly like the May services in the Catholic Church. Moved by our pious behaviour, the priest gives us white flowers strung on a piece of thread and exuding a mixed scent of jasmine and tuberose. We depart from the temple leaving a small offering.

The temple's front is covered with stylised reliefs of elephants and fantastic monsters. The roof, melting into the darkness above, boasts an array of larger and smaller figures. All this nevertheless displays a strange measure of stylistic maturity, seasoned over the ages and avoiding ornateness despite the diversity of the many figures. Amidst the alien bustle of the streets the temple seems like a peaceful oasis, with even racial differences lost in the face of the great Secret of Life that all religions express.

The night, spent in a Singhalese hotel, is not too pleasant. There are mosquito screens over the beds but the insects manage to find invisible holes in them and sting us mercilessly. At four in the morning thousands of crows start their terrible cawing. Lacking sleep and tired, we depart from the Maradana station at seven, our destination Kandy, the former capital city under Ceylon's independent rulers.

At first the train taking us to Kandy crosses flatlands covered with palm trees and mixed forests – the so-called "wet" or "high" jungle – cut by bright yellow-green rice fields falling in terraces towards the tracks. As we move deeper into the mainland the flora becomes more diverse in form and colour.

After leaving the station at Polgahavella the train begins a laborious climb upwards, the track serpentine

że psychikę ich wyobrazić sobie trzeba na podstawie tych danych w szczególnie okropny sposób.

Dziwne i nieznane działa zawsze z współczynnikiem grozy; cóż dopiero dziwność potworna. Młodzi ludzie o wyrazach chytrych lub smutnych, ale nawet w smutku wstrętnych. Coś nieszczerzego, psio-uległego i podstępного jest we wszystkich twarzach. Rzadko widzi się twarz poczciwą albo szczerze wesołą, rzadko też wyraz siły i zawziętości. Na ogół wrażenie ponure i męczące.

Uczesania najróżnorodniejsze. Kapłani ubrani w długie, żółte szaty z jednej sztuki noszą głowy golone zupełnie. Mężczyźni cywilni mają wszystkie możliwe stopnie uwłosienia głowy. Przeważnie noszą długie włosy albo rozpuszczone, co przy brodzie i wąsach wygląda obrzydliwie, albo związane w węzeł z tyłu głowy. We włosy zaś mają wpięty okrągły, żółty grzebień, którego ostro zakończony koniec sterczą z przodu i w słońcu robią wrażenie płomykowatych rozków. Niektórzy ogoleni zupełnie zachowują w środku głowy mały „oseledec”; inni mają zwykle, tylko z murzyńska kędzierzawe czupryny. Przeważnie tylko starcy chodzą w turbanach. Większa część mężczyzn ma głowy gołe i podziwiać trzeba tych, co ogoleni chodzą bez nakrycia w upale, który w parę minut zabija Europejczyka, mającego odwagę zdjąć korkowy hełm z głowy.

Niektórzy do połowy nadzy, inni w kolorowych, przewieszonych przez plecy szalach; wszyscy prawie w kolorowych spódniczkach. Barwy ubrań najróżniejsze: od niebieskich do pomarańczowych, od purpurowych do zielonoszmaragdowych.

Żółty kolor, zarezerwowany wyłącznie dla bonzów, spotyka się dość rzadko. Niektóre kobiety noszą szaty granatowe, obramowane szerokim, żółtym szlakiem. Mężczyźni mają ruchy tak miękkie i kobiece, że wskutek braku wielkich różnic w uczesaniu trudno ich czasem od kobiet odróżnić. Bardziej dystygnowane damy noszą krótkie, białe staniczki, obszyte koronkami, z dużym dekoltem i krótkimi rękawami.

Żebracy leżą przeważnie na rogach ulic, przykryci z głowami szarymi płachtami, wystawiając jedynie spod nich dra pieżne, chude, czarne łapy z dzbankami lub miseczkami na pieniądze i wydając spod płacht stłumione ryki i jęki.

Na tle bezustannego krakania niezliczonych kruków i gwaru rozmów słychać dzwonki „rikszów” i niecierpliwie, jakby pełne oburzenia nawoływania woźniców na woły, ciągnące powoli bidy, pokryte półokrągłymi, plecionymi z liści palmowych budami. Aa! Aa! rozlega się wszędzie i zdaje się co chwila, jakby gdzieś komuś zęb zniemacka wyrwany.

Główna ulica wychodzi nad rzekę Kelani, może jakie dwieście kroków szeroką. Mętne, burożółte wody, jak wszędzie zresztą na Cejlonie, zdają się nie płynąć wcale i odbijają w leniwych wirach olbrzymi, różowy od zachodzącego słońca obłok.

Na drugim brzegu las palmowy i ukryte w nim domki, w których zaczynają się ukazywać zaraz po zachodzie światła w oknach. Wąska, tuż nad horyzontem trzymająca się zorza trwa minutę lub dwie zaledwie i mrok zapada szybko i znie-

nacka, zdając się jeszcze czarniejszym wobec tylko co znikłego, rażącego blasku dnia. Przeprowadzamy się na drugi brzeg promem, pełnym Syngalezów, koszów z owocami i innych warów.

Droga idzie wśród palm wysokich, potrząsających pióropuszcami w powiewie wieczornym. Blisko brzegu kąpie się w błotnistej wodzie mnóstwo ludzi. Dziwnie wyglądają ich czarne, chude sylwety na tle szybko gasnącego, wieczornego nieba. Pokazują się pierwsze gwiazdy:  $\alpha$  i  $\beta$  Centauri, które z nad miarę osławionym Krzyżem Południowym stanowią jedyną ozdobę południowego nieba w tej porze roku o wczesnych godzinach. Dużo później dopiero wstaje olbrzymi Canopus, największa gwiazda po Syriuszu na obu półkulach. Wielki Wóz, wyrócony tuż nad horyzontem, wskazuje na niewidzialną we mgle Gwiazdę Polarną. Pas równikowy z Arkturem, Spicą i Antaresem przesuwają się przez sam zenit.

### III

Wracamy późnym wieczorem w kierunku portu. Słychać dźwięki piekielnej muzyki bez początku i końca, bez żadnego określonego tematu. Piszczałki dmą bez tchu; na tym tle bęben wyprawia dziwne, nieregularne skoki. To wesele w bogatym domu tamilskim.

Muzykanci siedzą na ziemi w przedpokoju, a przechodnie z ulicy obserwują przez otwarte drzwi tajemnicze praktyki ślubne. Dalej świątynia brahmańska, w której odbywa się wieczorne nabożeństwo, stanowi dziwny kontrast z gwarem tamilskiego wesela. Nie wpuszczają nas do środka, mimo obietnicy zdjęcia pantofli. Stoimy w drzwiach, przejeżdżąc do głębi tajemniczym nastrojem wnętrza. Pałają się lampy wiszące w kształcie mis szklanych, umocowanych w mosiężnych, rzeźbionych oprawach. W głębi, na końcu małego korytarzyka ołtarz z posągami Wisznu. Na stole oświetlonym kagankami, trzymanymi przez rzeźbione mosiężne czy złote postacie, stoją naczynia. Kapłan odprawia nad nimi modlitwy czy zaklęcia i daje coś do wypicia czy zjedzenia jednemu z wiernych. Po kolei przechodzą przez tę praktykę wszyscy obecni. Z głębi słychać monotonicznie śpiewane modlitwy, trochę przypominające katolickie majowe nabożeństwo. Wzruszony naszym pobożnym zachowaniem się kapłan daje nam białe kwiaty o zmieszonym zapachu jaśminu i tuberozy, nanizane na nitkę. Składamy drobną ofiarę i opuszczamy świątynię.

Fronton jej pokryty wypukłymi rzeźbami, przedstawiającymi stylizowane słonie i fantastyczne potwory. Na dachu giganym w ciemności roi się od mnóstwa większych i mniejszych pomieszanych ze sobą postaci. Mimo to panuje w tym wszystkim dziwna miara stylu dojrzałego przez wieki i wielość postaci nie sprawia wrażenia przeładowania. Wśród obcości ulicznego życia świątynia ta robi wrażenie jakiejś spokojnej oazy. Wobec wielkiej Tajemnicy Istnienia wyrażonej we wszystkich religiach zatracą się nawet odległość rasowa.

Noc w syngaleskim hotelu niezbyt przyjemna. Na łóżkach moskitiery, pomimo których moskity dostawszają się przez jakąś niedostrzegalną dziurkę tną bez litości. Od g-

over deep chasms. Visible on the horizon are mountains, among them the rocky massif of Angalla Peak, shaped like an enormous sugar loaf, and another, its top cut off horizontally to form a fortress-shaped crag. The highest peaks are lost in a grey-violet mist from which grey curtains of rain pour down every now and then onto the hills which lie at the foot of the mountains like huge clumps of moss. Both the closer and more distant peaks are covered with an abundance of flora, which gives them a feathery look, as if they were made of a soft, fluffy fabric.

The fantastically-shaped trees of the roadside jungle contrast with the dark-blue horizon. Palms, huge, with fan-shaped leaves and sprouting enormous, orange-coloured fruit or small, thick and spread out like bouquets of flowers. Some are thin, tall and topped with small clumps of leaves with something resembling a large birdnest below the spot from which the leaves sprout. Others have huge, glistening, dark-green leaves notched like oak leaves and bright green, round fruit. There are trees with light-green leaves resembling huge frayed carpet-beaters and clusters of fruit hanging down like the segmented tentacles of gigantic squids, trees with small leaves covered with cup-shaped, orange flowers and bushes topped by tight clusters of blindingly pink-violet blossoms. Near the ground grow mint bushes whose little flowers go through all colours from violet-purple to bright orange as they blossom. Others, still smaller, have bright-violet flowers growing halfway up their snakelike, twisted stems.

Every now and then the track takes a turn, disclosing a view of mountaintops and craggy precipices, at the bottom of which lie ricefields criss-crossed by strangely-patterned terraces used to preserve water. On the bare earth, mostly the colour of deep-red brick, are plantations of small, round, dark-green tea trees and tall gum trees, their off-white bark marked by oblique, spiral-like cuts, underneath which hang little bowls made from coconut shells to gather the white, fresh gum-juice. On the hillsides are abandoned coffee plantations overgrown with tall, bright-green grass that ripples in the wind.

On the stations we see crowds of people, their clothes crazy with colour. The colours of the clothes are, so to speak, kept in line by the black-brown of the natives' skins, unchanging against the diversity of hues. Even a local Catholic bishop is dressed to fit in with the wild colours of the surrounding nature and the local garb: violet stockings, a white robe, bright-green tassels on his hat and a similarly-coloured rope tied around his waist.

The heat increases and we begin to feel thirst. One of our travelling companions, a civilised Singhalese planter dressed in European style, suggests we buy the orange-coloured fruit of a certain palm variety, which we do at the next stop. The boy vendor selling the fruit, who looks like a little Satan, cuts out a square-shaped opening in the fruit's narrow end with a knife. Out of the bluish-white gash comes a watery juice. We try to drink it. The juice tastes like warm, sweet water, reminding us of freshly-cut willow branches. Every time we ask our planter friend for the names of the trees we see on our way he answers derisively, "those are wild trees". But his eyes light up when he gets a chance to provide information about any utility plants we encounter – which he does competently.

Through the valley runs a river, its yellow-brown currents winding amidst huge, round, water-smoothed rocks. Through the trees we catch glimpses of a temple topped by a cone-shaped dome and natives bathing sacred elephants, the animals spilling water over their bodies from their trunks.

Brick-coloured streams flow down from the mountainsides, near-naked natives covered to their waists with muddy earth are ploughing ricefields with the help of grey-coloured oxen. A valley opens up among the jungle-covered hills. In the valley, on the shores of a huge lake, lies the city of Kandy, with Ceylon's most famous pagoda, the so-called Temple of the Holy Tooth.

July 19, 1914

Translated by *Maciej Bańkowski*

czwartej z rana zaś zaczyna się straszliwy wrzask tysięcy kraków. Niewyspani i zmęczeni wyjeżdżamy o g. siódmej rano ze stacji Maradana w kierunku Kandy, dawnej stolicy niezależnych królów Cejlonu.

Kolej żelazna do Kandy idzie z początku wśród płaszczyn porośniętych palmowym i mieszanym lasem, tak zwaną mokrą, czyli wysoką „dżunglą”, przerywaną przez jaskrawo żółto-zielone, tarasami spadające ku torowi, pola ryżowe. W miarę posuwania się w głąb kraju roślinność staje się coraz bardziej rozmaita w formach i kolorach.

Od stacji Polgahavella pociąg zaczyna z trudem pięć się pod górę po serpentynach wiszących nad głębokimi przepaściami. Na horyzoncie ukazują się skaliste szczyty: Angalla Peak w kształcie olbrzymiej głowy cukru i inny stanowiący poziomo u góry ściętą w kształcie fortecy krzesanicę. Największe toną w mgłach szarofioletowych, z których na odległość, u stóp ich położone wzgórza, podobne do olbrzymich kęp mchu, zaciąga się co chwila szara zasłona ulewnego deszczu. Niższe i bliższe szczyty wskutek doszczętnego pokrycia ich wybujałą roślinnością mają sylwety pierzaste i zdają się być zrobione z jakiejś miękkiej, puszystej materii.

Na tle granatowej dali rysują się niebywale kształty drzew przydrożnej dżungli. Palmy olbrzymie z wachlarzowatymi liśćmi i gronami pomarańczowych, ogromnych owoców albo małe, krępe, rozłożone jak bukiety. Inne cienkie, wysokie z małą kępą liści na szczycie i jakby ogromnym ptasim gniazdem pod miejscem, skąd wychodzą liście. Drzewa o kolosalnych, lśniących, ciemnozielonych liściach, karbowanych jak liście dębu i jasnozielonych, kulistych owocach. Inne szarozielone, podobne do olbrzymich wystrzępionych trzepaków z gronami owoców zwieszających się w postaci ogromnych ośmiornic o członkowanych ramionach. Drzewa o małych listkach, pokryte pomarańczowymi kielichami kwiatów, krzewy, których szczyty stanowi zbity masa kit oślepiąco różowo-fioletowych. U spodu krzaki mięty, pokryte kwiateczkami przechodzącymi w swym rozwoju od pączka do kwiatu wszystkie kolory, od fioletowej purpury do jaskrawego oranżu. Inne mniejsze, z jasnofioletowym kwiatem, przyczepionym w połowie węzowato skręconej łodygi.

Co chwila na zakrętach widok odsłania się na szczyty i przepaście skalne, na dnie których leżą pola ryżowe porośnięte w dziwne desenie tarasami służącymi do utrzymania

wody. Naga ziemia przeważnie koloru ciemnoczerwonej cegły. Na niej plantacje małych, okrągłych, ciemnozielonych drzewek herbaty albo wysmukłych, o białawej korze drzew gumowych z ukośnymi spiralnymi nacięciami i przywiązanymi do nich miseczkami z kokosowych orzechów, do których ścieka biały sok świeżej gumy. Na wzgórzach opuszczone plantacje kawy, zarosłe olbrzymią, jasnozieloną, falującą na wietrze trawą.

Na stacjach tłum w ubraniach różnokolorowych aż do obłędu. Wszystkie barwy trzymane jakby w ramach jednostajnym w stosunku do ich różnorodności czarno-brązowym kolorem nagich ciał krajowców. Nawet biskup katolicki ubrany odpowiednio do rozszalałych barw natury i strojów: ma fioletowe pończochy, białą szatę i jaskrawozielone pompony na kapeluszu i sznury opasujące go w połowie ciała.

Upał wzmaga się i zaczyna nam dokuczać pragnienie. Jadący z nami cywilizowany i po europejsku ubrany plantator Syngalez radzi nam kupić pomarańczowy owoc pewnej odmiany palmy kokosowej. Kupujemy na najbliższej stacji. Sprzedający chłopiec, wyglądający na małego diabełka, wycina nożem kwadrat w węższym końcu owocu. Spomiędzy niebieskawobiałych ścian wytryska sok wodnisty. Próbujemy pić, ale jest to ciepła woda o słodkim smaku, przypominającym świeżo złamaną gałązkę wierzby. Na wszystkie pytania co do nazw drzew spotykanych plantator odpowiada z pogardą: „to są dzikie drzewa”, a oczy mu płoną i udziela fachowych informacji na widok jakichkolwiek roślin użytkowych.

Doliną płynie rzeka żółtobrązowego koloru wśród olbrzymich, okrągłych, utoczonych przez wodę głazów. Wśród drzew miga szczyt świątyni, zakończonej stożkowatą „dąbą” i widać, jak krajowcy kąpią święte słonie, które polewają się wodą przy pomocy swych trąb.

Ze stoków gór spadają potoki o wodzie ceglastego koloru, a na przygotowanych pod uprawę ryżu polach orzą w szare woły, staplani po pas w bagnistej ziemi, prawie całkiem nadzy krajowcy. Roztwiera się dolina wśród wzgórz pokrytych „dżunglą”. W dolinie nad ogromnym jeziorem roztacza się miasto Kandy z najsławniejszą pagodą na Cejlonie, tzw. Świątynią Świętego Zęba.

19 lipca 1914